

Młodzieńczy Lot

*Czasopismo wydawane staraniem Gminy Szkolnej
uczniów Państwowego Gimnazjum Żeńskiego im. E. Sezanieckiej w Łodzi*

Rok III.

Wrzesień — Październik 1931 r.

Nr. 11.

Od Redakcji.

Wraz z początkiem roku szkolnego rozpoczął się dla nas długo-trwały okres pracy nad sobą, pracy wyjątkowej, żmudnej, a tak przecież radosnej i ukochanej. Przystępujemy do niej z zasobem nowych sił, nowej i silnej woli, pełne ufności i wiary w siebie. Pracować mamy na wszystkich polach, jak najusilniej na każdym, nie tylko nad książką wzbogacać umysł, lecz także wyrabiać wolę, kształcić serce i charakter, wreszcie pracować na terenie szkoły dla wspólnego naszego dobra. Wielkie hasło Marszałka Piłsudskiego, ów „wyścig pracy” jest naszym hasłem i dla nas ma pierwszorzędne znaczenie. Któż bowiem może prędzej zastosować do siebie i swej działalności te nieśmiertelne słowa, wyrzeczone przez wodza narodu, któż, jeśli nie my, młodzież polska, która swą pracą nad sobą wykuwa przyszłość ojczyzny. Tylko tego przeświadczenia i zrozumienia, tylko dobrej woli i ochoty potrzeba, a wytrwamy z pewnością. Wszystkie walki, zwycięstwa woli i charakteru, odniesione nad sobą w ciągu długiego roku szkolnego, splecą się w jeden laurowy, promienny wieniec zwycięstwa i triumfu.

Teraz zaś do pracy!

Temi słowami wita nas pierwszy tegoroczny numer „Młodzieńczego Lotu”. Pisemko nasze przychodzi do każdej z nas z serdecznym, radosnym pozdrowieniem w imię tych naszych obowiązków, prac, kłopotów i radości życia szkolnego. Przenosi myśl naszą z powrotem w czasy minionych wakacji, owiewa czarem wspomnienia wycieczek, zjazdów i tych chwil

radosnych, spędzonych na obozach lub kolonjach. Następne jego numery tak jak zawsze przynosić będą nasze prace: artykuły, opisy, utwory poetyczne. Redakcja apeluje do tych z koleżanek — tak najmłodszych jak najstarszych — które mają odpowiednie warunki i chęci, aby jak najliczniej nadsyłały do redakcji swe prace bez obawy krytyki lub odrzucenia. To, co posyłamy do redakcji, musi być oczywiście jaknajlepsze w treści i formie. Ale tego przypominać nie trzeba. Nasze piśmko, właśnie dlatego, że jest nasze, własne, że stanowi obraz naszego życia szkolnego i nas samych, musi zawierać to, co możemy dać mu najpiękniejszego, co w nas jest najlepsze. Pozatem „Młodzieńczy Lot” jako organ Gminy szkolnej podawać będzie sprawozdania z działalności samorządów klasowych oraz organizacji i zrzeszeń, wchodzących w skład Gminy i ten dział zasługuje na największą uwagę z naszej strony. W całej szkole niema dziewczynki, któraby nie należała do Gminy szkolnej, a ileż z nas pracuje nieraz w kilku naraz organizacjach na jej terenie.

Niema wśród nas żadnej, któraby nie interesowała się pracą społeczną w szkole i nie powinno być takiej, któraby na łamach naszego piśmka szukała pustych, niemądrych czasem feljetonów, a pomijała te dokumenty naszej działalności, świadectwa rozwoju i udoskonalenia. Koleżanki! Pomyślcie, że w tych suchych, krótkich słowach i liczbach widzieć powinniśmy staranie i pracę wielu koleżanek, owoce ich działalności, korzyści, jakie stąd odniosłyśmy my i cała szkoła. Z jakimż zainteresowaniem dowiadywać się mamy, co w której klasie zrobiono, jak udoskonalono formy wspólnego życia, jakich rzeczy dokonano. To jest naszą prawdziwą, największą chlubą i radością. Jakże dumne i szczęśliwe być powinniśmy, że i my tworzymy małe społeczeństwo i przez pracę w niem uczymy się dobrze i pożytecznie pracować kiedyś dla ojczyzny.

Nowy rok szkolny.

Pełne sił i woli z minionych wywczasów,
Zbiegłyśmy się wszystkie znowu w naszej szkole,
Z nad brzegów morza, gór, wsi, pól i lasów
Z uśmiechem na ustach, choć znikły swawole.

I choć majaczą pól bezbrzeżnych dale,
Przed oczami stoją niebotyczne góry,
Choć jak we śnie huczą jeszcze morskie fale,
Piękne i drogie mi są szkolne mury.

A więc do pracy! Choć to zew mozołny,
Nie wolno gnuśnie i beczynnie stać.
Do góry skronie! Wszak nowy rok szkolny
Oświaty ziarna już zaczyna siać!

Do nowej pracy, która nam w przyszłości
Odróżni życia głębię od mielizny
I wskaże drogę wiedzy i prawości
Jak żyć, pracować i bronić ojczyzny.

Niechaj wysiłek, niech nad książką praca
Wspólnym dążeniem dusze opromieni
I niech nadziei serce nie zatracą,
Że wiara twórcza moc zwycięży cieni!

Karolina Łukasiewiczówna (Klasa VII.)

Z moich rozmyślań nad znaczeniem wycieczki do Wilna.

Szkoła kształci umysł i serca. Uczy nas kochać kraj, bliźnich. Przygotowuje nas do przyszłego życia w społeczeństwie. Dużo wiadomości zdobyłam w ostatnim roku szkolnym. Goręcej i więcej świadomie pokochałam swój kraj i naszych wielkich bohaterów przez lekcje historii. Poznałam naszą literaturę z ubiegłych wieków, poznałam dawne życie narodu polskiego i pokochałam swój kraj jeszcze bardziej. Najbardziej jednak podziałała na moje uczucia podróż do Wilna.

Tego momentu nigdy nie zapomnę i będzie trwać w mem sercu wiecznie. Nie mogę wypowiedzieć swego wielkiego wzruszenia, jakie mię ogarnęło, gdy patrzyłam z okna wagonu na kołyszące się łąny, dalekie pola i nasze wioski. — To Polska — szeptałam i czułam łzy w oczach. Zboże tak samo szumi jak za czasów Chodkiewiczów, Żółkiewskich, takie same łąny patrzyły na walki powstańców. To samo niebo patrzyło na Kościuskę, mego najukochańszego bohatera, gdy w białej sukmanie walczył pod Raclawicami. A potem właśnie krwawiło się słońce nad klęską narodu, gdy ranny Naczelnik został wzięty do niewoli. Wzrok biegnie tak daleko, iż zdaje się, że ta Polska nie ma końca. Ciemne lasy stoją ciche i tajemnicze. Może chowają smutne wspomnienia o krwawych potyczkach powstańców. Przejeżdżam przez Niemen. Do głowy cisną mi się myśli i wspomnienia. — Tam za górą nad Niemnem zniknęli powstańcy — (fragment z powieści „Nad Niemnem”). Szukałam oczyma, czy właśnie przede mną nie ukaże się takie wzgórze.

Wkrótce ukazały się na widnokręgu wieże i kopuły Wilna. Jak piękne jest Wilno, jakie nasze, polskie, ten może wiedzieć, kto je widział.

Ile w niem grobów i pomników tych, którzy zginęli za Polskę, za polskość starego Wilna! Nad Wilnem unoszą się duchy poległych bohaterów i nie pozwolą, by Wilno stało się niepolskie. Tam czuwa na straży cały legion zmarłych powstańców i szarych żołnierzy, którzy walczyli o polskie dusze, o wolność narodu! Nad miastem panuje taka cisza i spokój, że serce inaczej uderza, goręcej czuje miłość do kraju. Wilno nastraja patryjotycznie. A mieszkańcy? Patrzyłam na tłumy, które brały udział w procesji Bożego Ciała, i łzy napłynęły mi do oczu. Coś ścisnęło mnie za gardło. Wstyd mi było płakać, ale gdybym była sama, wybuchnęłabym szlochem. Było coś tak wzruszającego, coś tak serdecznego i potężnego w tym pochodzie, że wrażenie to nie da się opisać. Ludzie inteligentni, wykształceni, bogaci i prości, wszyscy idą spokojnie i śpiewają. Zdają się być wszyscy równi, jakby byli braćmi. Coś ich łączy, jakaś nić spaja ich mocno. Wilno jest polskie oddawna i nikt nie może go nam zabrać. O tem mówi poczucie polskości w jego mieszkańcach. Z przyjemnością błąkałam się po wąskich uliczkach, bo czułam jakieś serdeczne przywiązanie do tych starych domów, wąskich uliczek i wyniosłych kościołów. Msza w Ostrej Bramie. Z kaplicy patrzyła na nas Matka Boska, ta sama, do której wołał Mickiewicz zdala: „Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy i w Ostrej świecisz Bramie!” Twarz Matki Boskiej jest namalowana według sztuki bizantyjskiej, ale ma w sobie coś tak przyciągającego, że każdy klęka przed wizerunkiem i modli się szczerze, z całego serca. Nie dziw więc, że tysiące ludzi zanoszą tam modły do Królowej Polski. Wzruszająca jest pobożność i gorące przywiązanie Wilnian do Matki Boskiej Ostrobramskiej. Pomyślałam sobie, czy to w innym mieście, prócz Częstochowy można spotkać tak głęboką religijność. Zauważyłam, że religijność wilnian ściśle łączy się z ich patryjotyzmem. Wiedzą, że ich miasto jest narażone na zakusy nieprzyjaciół Polski, więc z ufnością dzieci udają się w opiekę Matki Boskiej, Królowej Korony Polskiej, wierząc, że Matka Boża nie dopuści do utraty Wilna. Niedaleko miasta wznosi się Zamkowa Góra. Z niej widać całe Wilno jak na dłoni. Na dole płynie Wilja, a na drugim jej brzegu rozciąga się gród Gedymina. Cicho i uroczym wyglądem miasto w obramowaniu zielonych lasów i wyniosłych wzgórz. Właśnie słońce zachodziło i odbijało swe blaski na złotych kopułach cerkiew, gdy patrzyłyśmy ze szczytu Góry Zamkowej na leżące w dole Wilno.

Zdobyłoś mnie, nasze kochane Wilno, swym urokiem! Pokochałam cię, jako placówkę polskości na wschodzie i pokochałam cię za twą religijność i patryjotyzm! Zuchwałeś stanęło przeciw przemocy wroga, nie dałoś nałożyć sobie moskiewskich pęt, oparłoś się zuchwałym napaściom Litwinów. Bije od ciebie moc i siła, z dumą możesz stanąć obok Krakowa i Warszawy i zawołać: „Nie jestem mniej godne od was!” Nigdzie się tak nie czułam Polką jak w Wilnie. Poznałam już trochę swój kraj, pokochałam go i postanowiłam pracować dla Polski. Będę się starała być dobrą obywatelką, pracować dla kraju, dla bliźnich, bo móc czynić dobrze jest wielkiem szczęściem, na które niekażdy może się zdobyć. My, młode pokolenie, będziemy się starali nie dopuścić nieprzyjaciela pod

mury Wilna, Lwowa lub Poznania. Pokażemy „czarnym orłom”, co to znaczy miłość ojczyzny, czyn i zapal Polaka! Niech zaczepią nas, nie wyjdą na tem zbyt korzystnie, bo na zew ojczyzny pójdą masy szarych żołnierzy, legiony młodych zapaleńców z pieśnią na ustach: „Nie damy, by nas gniebił wróg!”

W. Kowalska (VII).

Zwiedzanie Wilna.

Dzięki ofiarnej pracy naszych kolegów Wilno poznałyśmy bardzo dokładnie, o ile dokładnie można je było poznać przez te 3 dni, które minęły jak sen.

Zaczełyśmy zwiedzanie od cmentarza na Rossie, po którym w noc księżycowe błdził Słowacki z Ludwiką Śniadecką. Z zewnętrznej strony cmentarza znajdują się groby poległych za ojczyznę powstańców i żołnierzy z wojny światowej. Nad grobami wznosi się pomnik, który zbudowano z ofiar wilnian. Na samym cmentarzu spoczywają szczątki zasłużonych Polaków m. in. Władysława Syrokomli. Sam cmentarz znajduje się na wzgórzu, zupełnie skrytem w cieniu rozłożystych drzew.

Stąd pomaszerowałyśmy prosto do baszty i lochów, podobno niegdyś łączących Wilno z Trokami. Według legendy w lochach tych przebywał bazyliszek, który zginął, przeląkłszy się swego odbicia w lustrze.

Teraz długim szeregiem zaczęły się kościoły. Wogóle kościołów w Wilnie jest bardzo dużo, najwięcej ze wszystkich miast Polski.

Ma być wszystkich większych około 25-ciu. My zwiedzałyśmy tylko niektóre. Kościoły: poddominikański, św. Jana, pobernardyński, św. Jakuba, św. Jerzego, św. Trójcy, budowane są w stylu gotyckim, do którego później dołączano barok, renesans, a nawet i rokoko. Wewnątrz są one zdobione rzeźbami, freskami i obrazami pracy polskich malarzy. Na uwagę zasługuje kościół św. Anny, cudowna zabaweczka, maleńki, budowany około roku 1500-tnego w gotyku płomienistym. Barwny, z różnych odcieni cegły, odbija się wyraźnie od białych domów Wilna. Jest tak śliczny, że Napoleon chciał „na dłoni” przewieźć do Paryża, aby postawić go jako miniaturkę obok kościoła Notre-Dame. Katedra jest w stylu klasycznym, budowana na wzór Panteonu.

Ciężkie kolumny tworzą zewnętrzny portyk. Z frontu znajdują się trzy posągi: św. Jana, św. Heleny i św. Kazimierza. Po prawej stronie, w niszach są posągi królów polskich. Wewnątrz cennym zabytkiem jest kaplica św. Kazimierza, budowana z czarnego i białego marmuru, zdobna w rzeźby i obraz, wyobrażający śmierć św. Kazimierza.

Bezspornie najpiękniejszym kościołem wileńskim jest kościół św. Piotra i Pawła. Wznosi się on na Antokolu, zbudowany przez jednego z Paców. Cenny ten zabytek sztuki składa się prawie z samych rzeźb. Niezliczone ich mnóstwa tworzą całe grupy, z których czyta się historie i legendy. Rzeźby te są tak piękne, wykonane tak genialnie, że siedzieć się tu chce i wiecznie patrzeć. Cześć i chwała temu, kto tak uczcił swego Stwórcę! Charakterystyczne dla cerkwi są zielone kopuły ze

złotemi zakończeniami. Z cerkwi między innymi widziałyśmy cerkiew św. Trójcy i św. Ducha, w której spoczywają szczątki trzech męczenników za wiarę.

Nad wszystkimi kościołami, nad całem Wilnem i Litwą króluje cudowna twarz Matki Boskiej Ostrobramskiej. Z taką słodczą patrzy ona na ludzi, że czuje się odrazu, że to jest nasza najukochańsza Matka.

Korzystając z niestrudzonych kolegów przebiegłyśmy prawie wszystkie ulice Wilna. Wilno, zalicza się do miast dużych. Posiada bowiem 12 tys. hektarów powierzchni. Zaludnione jest średnio. Najgłośniejszą ulicą jest ulica Adama Mickiewicza, od byłej nazwy św. Jerzego, biorąca nazwę Jerka. Gimnazjów posiada Wilno dość dużo, w tem kilka państwowych. My byłyśmy w gimn. im. Mickiewicza, gdzie specjalnie zachwycaliśmy się pracownią fizyczną, i w gimn. im. Zygmunta Augusta, posiadającym bardzo ładny ogród, w którym można zobaczyć przynajmniej 1 roślinę każdego gatunku. Z okien Żeńskiego Gimn. im. Orzeszkowej obserwowałyśmy wspaniałą pochód - procesję z okazji uroczystości Bożego Ciała.

Byłyśmy w mieszkaniu Mickiewicza, w byłym więzieniu jego i celi Konrada, która teraz całkowicie jest poświęcona jego pamięci. Zresztą pamiątek po naszych „wielkich” nie brak w Wilnie. Spotykamy je na każdym kroku. Widziałyśmy wąziutkie uliczki połączone biblijnemi „uchami igielnemi”, które jako szerokie łuki łączą obydwie strony wąziutkiego przesmyku, jaki tworzy ulica. Takich „uch igielnych” najwięcej można spotkać w żydowskiej dzielnicy, zwanej Geth'a.

Zwiedziliśmy również potężny uniwersytet Stefana Batorego, z którym łączy się tyle wspomnień z „szarym komendantem”. Tu on kształcił się, tu poraz pierwszy cierpiał za Polskę, tu danem mu było jako oswobodzicielowi ojczyzny otworzyć zamknięty od lat stu uniwersytet. W murach zachwycaliśmy się prześlicznymi zbiorami. Szczególnie podobały mi się zbroje, obrazy i zbiór odznaczeń polskich. Na placu Łukiskim złożyłyśmy wieńce na pamiątkowej płycie, gdzie prawdopodobnie braćmi byli powstańcy 1863 r., taki sam wieniec złożyłyśmy pod krzyżem, zbudowanym z szubienicy, na której na górze zamkowej tracono również powstańców. Na tej samej górze wznoszą się ruiny zamku Gedymina. Stąd piękny widok roztacza się na Wilno. Wokół białe domy z czerwonymi dachami kryją się w zieleni drzew, a co chwila wystrzela nad nimi wieża kościoła, lub złoci się kopuła cerkwi. Miasto jakby wstęga przecina Wilja i trochę z boku wąski pasek Wilejki. Naprzeciw zaś wznoszą się trzy krzyże góry Trzykrzyskiej. Dziwnie urocze są te Trzy krzyże. Wszystkie trzy białe jak śnieg, bez żadnych rzeźb tulą się do siebie i z góry patrzą na miasto. Droga na górę Trzykrzyską była bardzo wesoła. W górę lażyłyśmy sapiąc i stękając, ale zato w dół „na łeb na szyję”.

Niema miejsca w Wilnie, z którem nie łączyłyby się legendy, jedne piękniejsze od drugich. Na każdym miejscu spotyka się pamiątki pracy polskich królów i magnatów, na każdym kroku — pamiątki polskiej kultury. Niema miejsca, gdzieby nie była przelana krew w obronie

Wilna, krew, która Wilno czyni bezcenną i najdroższą placówką naszej ojczyzny. . . .

Rzut, który dałam jest bardzo, ale to bardzo pobieżny. Więcej jednak pisać nie mogłam: po pierwsze z braku miejsca; po drugie, że jeszcze dotąd mam w głowie taki chaos widzianych rzeczy, że chciałybym pisać wszystko, a nie mogę nic. Wiem tylko tyle, że Wilno było, jest i będzie nasze.

Regina Traczówna (VIII).

Nasza kwatera.

(Humoreska).

Ciemny przedsiónek, o nierównej, ceglanej podłodze prowadził do dużej sali, zastawionej dwoma rzędami śnieżno zaścielonych łóżek.

Do tej to sali, którą nam los przeznaczył na kwaterę, spadliśmy jak grom z jasnego nieba. Zatrzymawszy się na chwilę na progu, rozbiegliśmy się po całej kwaterze w poszukiwaniu swych łóżek.

Naturalnie nie obyło się bez sprzeczek i lamentów. Któraś tam, zajmując łóżko nie tuż przy łóżkach swych koleżanek, wywodziła „dyskretne” żale.

— „A mówiłam ci, ofermo, żebyś prędzej biegła”, „uspakajała” „desperatkę” koleżanka.

No, ale wkońcu ulokowałyśmy się ze wspólnym wszystkich zadowoleniem. Tak więc my, „godne” reprezentantki VI-B zsunęłyśmy swoje łóżka razem, tworząc w ten sposób jedno wielkie posłanie.

Po powrocie z teatru, wracając o północy, zdawałyśmy się być dziwnie sennie. Dlatego też prędko wślizgnęłyśmy się pod zimne derki. Wkrótce światło zgasło. Po kilku minutach, koleżanka, śpiąca obok mnie, uniosła głowę i cichym szeptem spytała: „Ksantypciu, śpisz?” „Nie, Penelopciu” odrzekłam. Porozumiawszy się tedy chrząknięciem, wszystkie cztery ulokowałyśmy się w jednym łóżku.

— „Dawaj oranżadę” rzekła któraś.

— „Cytronady, a nie oranżady” odrzekła Penelopcia.

Jakoteż wkrótce chrupałyśmy ze smakiem wspaniałą chałwę, popijając „cytronadą” własnej konstrukcji, sądząc, że świadkiem jest nam jedynie melancholijny księżyc.

Ale wtem ozwał się głos: „A które tam tak bezczelnie zajadają?”

Dał się słyszeć plusk wyśmienitej „cytronady”, a w kilka minut jakieś tłumione jęki, czy też śmiechy.

— „To wcale nie było dowcipnie z twojej strony, Marysiu” rzekła wtem p. Zena, „trzeba było zapalić lampę, a nie wołać”.

Teraz już przepadło, wszystko wróciło do „ancien régime”.

Takie to i temu podobne hece działy się codziennie w naszej kwaterze. To też z żalem pożegnałyśmy ją, obdzierając bez litości bukiet georginij, zdobiący stół.

Eugenia Manteyówna (VII).

Wspomnienia z obozu P. W. K.

Są takie ładne, takie miłe chwile w życiu!

Oddałoby się za nie dużo, może bardzo dużo, gdyby się wrócić mogły. Ale chwila nie wraca. Już nigdy, nigdy nie wróci taka dobra chwila.

Ale mówcie o niej, to się cudne wróci wspomnienie.

Uda się myślą chwilę drugi raz przeżyć.

Był obóz. Przebiegły dnie szybko, jak piękny sen. Chwil dobrych i miłych było tak dużo! A co było najmiłsze, co było najcudowniejsze?

Pamiętam: codzień wieczorem, gdy już gwiazdy poczynały świecić, cienie stawały się duże i niewyraźne a pomiędzy krzaki wessał się gęsty, bury mrok, rozpalaliśmy ognisko. Buchał w górę wesoly, giętki płomień, błękit nieba przechodził w ciemny granat, cudnie się na nim złościła subtelna koronka gałęzi. A między trawy, między krzaki pełzały żółto-czerwone płomyki wyganiać ciemno-bury mrok z leśnych ostępów. Siadałyśmy całą kompanją — sto dwadzieścia dziewcząt — wokoło giętkiego płomienia. Otaczałyśmy gromadą nasze kochane, dobre i miłe komendantki. Śpiewałyśmy obozowe piosenki.

Gdzie niegdzie migotały światełka innych ognisk, wątpliwa cisza w przerwach między piosenkami pozwalała chwycić uchem dalekie echa śpiewów.

Mijały chwile, jedna za drugą, jedna za drugą, i ginęły w oddali, jak skry złote, co zgasły, by nie zapłonąć więcej. Ale nim zgasły iskry i chwile przepadły, przedziwna moc sprawiała ten cud niezwykły, że te sto dwadzieścia obcych dziewcząt nawiązało nagle dziwną pomiędzy sobą spójnię, dziwną i niewytłomaczoną bliskość. Lubiłam patrzeć na te twarze: były spokojne, uśmiechnięte, szczerze i proste, takie, jak życie obozowe.

A czasem — dumaly sobie dziewczęta, w ogień wpatrzone i jakieś roily marzenia.

A Szarża? Śpiewała z nami, dumala i marzyła z nami. Tak się jakoś złożyło, że się zgodnie wiara nasza w aspirantkach kochała, równo się sympatjami podzieliwszy. Miała tedy każda z nich rój swoich wielbicielów, co jej spokoju nie dawał, a otaczał, a zagadywał, a dogadzał. Był i kłopot, sceny zazdrości i „złamane serca” bo były pewiaczki mimo rygoru strasznie przez szarżę rozpieszczone. A to wszystko przez miłość. Czyjaż to wina, że były takie dobre i miłe?

Pchała się tedy wiara, jak kto mógł i gdzie kto mógł, byleby swego ukochania być bliżej. Tłok był więc ogromny, a zmartwienie i troska wielkie, bo co zrobić, jeśli się dużo kocha? A co zrobić, jeśli się kocha wszystkie?

Pamiętam: piosenka lekka i prosta miała zwyczaj precz te wszystkie troski odganiać. A było ich dużo i inne, zupełnie inne jak w domu. Była z tem wielka bieda, że sto dwadzieścia dużych dzieci miało oczy w mokrem miejscu osadzone, a dzieci te łez się straszliwie wstydziły i wypłakiwały swoje rozpaczę gdzieś w kąciku, do kostki, lub poduszki,

żeby tego, broń Boże, nikt nie śmiał zauważyć. A powodów tego było czasem bardzo dużo. Istniała w nas bowiem rzadko gdzieindziej spotykana ambicja grup. Nie cierpiałśmy wprowadzić „za miliony” ale cierpiałśmy za swój namiot, swoją drużynę, swój pluton. Niechby tam ktoś (naturalnie z szarzy) śmiał rzec, a pocichu napomknąć, że taki a taki namiot źle się sprawuje, że brudny, dziewczęta hałasują po capstrzyku! Mogłaś sobie spać smacznie, dziewczyno, nic, nic nie zawinić, aliści złość cię porywała ogromna, chęć, by te patałachy tam zatłuc, rozpacz prawdziwa i rzeczywista. Bo ta komendantka, bo inna, bo druga, chodzi, a dopatruje i kłopot ma. A potem myśli przez takiego „jednego z drugim” patałacha, że cała drużyna do niczego! Cała drużyna, no!

A niechby która komendantka, lub aspirantka była smutna, i to z powodu, że się taki, lub inny pluton źle sprawuje. Czyż mógłby być większy powód do zmartwienia? Napewno nie, przynajmniej na terenie obozu.

Te ambicje i ambicyjki sprawiały, że wzajemnie prześcigałyśmy się w czynnościach, żeby prędko, żeby dobrze, no i w razie czego patałachowi pomóc, albo mieć czas nań nakrzyczeć. Wszystko trzeba było robić prędko. Pamiętam — Alarm.

Chodziły o nim wieści od namiotu do namiotu, plotka, cichaczem powtarzana, rosła i docierała wszędzie. Co to, jak to, gdzie to? Zaudziałyśmy weteranki obozów ciągłymi pytaniami.

A one rosły w dumę. „Alarm! Ho, ho, moje drogie, zobaczycie!” I opowiadały nam o nim niestworzone rzeczy. A Szarża? Milczała — i miała miny tajemnicze.

Aż nareszcie — stało się. Kiedyś siedziałyśmy przy ognisku. Rozmarzyłam się wtedy bardzo i zaśluchałam w piosenki, co leciały w szarość mroku cicho, jakoś ciszej, jak zwykle. Aż nagle.

Cisza została przerwana — coś huknęło — zadudniło i znów huknęło — raz, raz.

Wrzask się zerwał ogromny ze wszystkich stron. „Alarm, alarm, naprawdę Alarm? Słuchaj, alarm, to niemożliwe, przecież . . ! Zrywam się, zrywają się wszyscy. Lecę. Sto dwadzieścia głów miga przed oczyma — tętent nóg. Patrzę nadół, żeby się niepotknąć. Przede mną nogi, za mną nogi, z boku nogi! Ktoś mnie popycha z tyłu, kogoś przewracam, potracam, wpadam do namiotu.

Pusto. Gdzie moja prycza? Niema mojej pryczy! Co się stało z moją pryczą? Boże, to przecie nie mój namiot! Wypadam, leczę, potykam się o kogoś, przeskakuję, kogoś przewracam, łapę kapelusze, koc, ruluje, leczę, stoję w szeregu — Już są. Oddycham z ulgą.

„Zameldowane?”

„Nasza drużyna druga?”

„Już wszystkie!”

Poprawiam na sobie mundur i koc. Rozglądam się. Ziemia strątowana prosto, jakieś koce, istne pobojuwisko. Jeszcze tam patałaszą któreś, rulują koce, to znów lecą, jak oszalałe do szeregu.

Ogarnia nas wszystkie wesołość. Ach, więc to tak? Komendantka zadowolona — pomimo, że było trochę za głośno. „No, możliwe!”

mówi i uśmiecha się. A my cieszymy się. Mamy wielką radość. Idziemy spać i cieszymy się. A rano znów mamy dobre humory, zadowolone z siebie i z pochwały Komendantki.

A potem! Alarm kompanijny, nasza kompanja pierwsza! — Chętnie się wchłania obozowe ploteczki:

„Wiecie, tam w drugiej kompanji cała drużyna spała w mundurach! To się szarża uśmieła, no! „Dziś w nocy była u nas inspekcja! Wyobraźcie sobie, śpią tu sobie spokojnie, a tu mi ktoś nagle w oczy świeci!”

I tak dalej i dalej.

Wróciło się nasze dzieciństwo, wróciła się wiara w dobro i w piękno. Jakoś się dziwnie stało, że znikły nasze prywatne, domowe sprawy.

W tym równym, prostym szeregu, pod białym, i smutnym namiotem uczuwało się jasną i rozumną prawdę, że to „ja”, które wyolbrzymiało się dawniej, straciło nagle wiele swoich żądań — że wrosła w duszę myśl o jednym, wspólnem dobru, chęć, by to dobro kosztem wielu ofiar zachować.

Dziwna rzecz! — Nie było tu wcale frazesów. Nikt nigdy, przy żadnej okazji nie mówił nam o naszej idei, ojczyźnie i t. d. A jednak, a może dlatego nawet idea ta wrosła w nas dziwnie mocno i nie wiem teraz, czy, chcąc stargać te węzły, które nas tak dziwnie razem spłotyły i nowe nam narzuciły myśli, nie musiałybyśmy się pozbyć może najpiękniejszych części naszych dusz.

M. Widemanówna.

Co mi dały tegoroczne obozy W. F.

Pomimo, że bardzo chciałam jechać do obozów P.W.K. jako słuchaczka wyższych kursów otrzymałam rozkaz wyjazdu (wraz z rowerem) do obozu W. F. w Sulejowie. Ciężko zrobiło mi się na sercu, że nie ujrzę naszych pewiackich mundurów, że nie ujrzę naszych instruktorek, poznanych w innych latach, mojej pierwszej komendantki, a przede wszystkim, że nie zobaczę Jej, Naczelnej Komendantki.

Pocieszyła mię jedynie ta myśl, że będę miała funkcję, za którą będę odpowiedzialna i . . . że biorę ze sobą mego „Cursora” (marka roweru). — Funkcja moja była dość kłopotliwa, lecz dla mnie bardzo miła, gdyż musiałam dużo jeździć.

Zostałam „łącznikiem”, czyli gońcem obozu. Mój żartobliwy tytuł brzmiał „Pocztówka”, gdyż głównym moim obowiązkiem było odbierać pocztę dwa razy.

Ponieważ na pierwszej „turze” w lipcu, oprócz nauczycielek z całej Polski było moc Polek-emigrantek z Czechosłowacji, Śląska niemieckiego, Jugosławji, Austrii, Łotwy, a nawet jedna z Turcji, miałam sporo kłopotu z odbieraniem przesyłek. Szybko jednak nabrałam wprawy.

Pamiętam, że gdy była zmiana urzędników na pocztę, miałam prawdziwą satysfakcję, że się tak dobrze orientuję w sprawach przesyłek.

I ja, którą kiedyś lęk ogarniał na samą myśl, że mam wysłać polski przekaz, teraz dyktowałam nie orientującemu się jeszcze w tych sprawach urzędnikowi, co ma czynić z zagranicznymi awizacjami!

Bywało, że musiałam przewozić do obozu ponad 100 zł. Musiałam pamiętać o kwitach, upoważnieniach, poleceniach i t. p. Trzeba było użyć całej siły woli, by wszystko załatwić systematycznie i by o wszystkim pamiętać. Już więc dwie korzyści: ćwiczenie się w systematyczności i ćwiczenie pamięci. Nieraz musiałam wyjeżdżać do Piotrkowa w sprawach obozów.

Trzeba było wtedy przybierać postawę zdecydowaną, poważną, stanowczą tak, by wszelkie moje żądania nie podlegały dyskusji i były wykonane. Ta ogromna odpowiedzialność pogłębiła we mnie poczucie obowiązkowości.

... A gdy wieczorem na polanie zabłysło ognisko, gdy jasnym płomieniem wystrzelała w górę pieśń nasza, serce me dziwnie rosło, biło dziwnie silnie i radośnie na myśl, że my Polacy jesteśmy tak silnym duchowo narodem.

Bo przecież te wszystkie młode kobiety są niemal z całej Europy i choć nigdy przedtem nie słyszały o sobie, to jednak miłość ku ojczyźnie tak je złączyła, że tworzyły jakby jedną rodzinę.

Pokochałam te wszystkie emigrantki, a gdy opowiadały, ile muszą nieraz cierpieć na obczyźnie, za to jedynie, że są Polkami, czułam dla nich część wielką — jak dla bohaterek.

— Gdy wróciłam z obozów, jasno sobie zdałam sprawę z tego, że nie jestem już taką, jaką byłam. Z „materiału na człowieka” stałam się człowiekiem, który rozumie odpowiedzialność za swe czyny i gotów je ponieść. Może brak mi jeszcze „ostatnich pociągnięć”, by być „zupełnym człowiekiem”, lecz te da mi późniejsze życie.

Hanka Koszańska VII kl.

Z wyprawy na Zlot Skautów Słowiańskich.

Z utęsknieniem wyczekiwałyśmy drugiej połowy czerwca b.r. a z nią wyjazdu zagranicę. Nadchodziło lato, w którym tysięczna rzesza harcererek i harcerzy, z różnych stron Polski, miała razem wyruszyć, by pokazać innym to, co posiada najlepszego młodzież nasza.

W niedzielę 20 czerwca, około godz. 22 zebrałyśmy się na stacji Łódź-Kaliska.

Wsiadamy do pociągu. Stacja powoli pustoszeje. Po mniej czy więcej czułych pożegnaniach nasi bliscy opuszczają przed chwilą gwarny dworzec. My układamy się do snu. Mamy jeszcze dwie godziny czasu. Wreszcie pociąg rusza. Oddalamy się coraz bardziej od stacji „Kominogrodu”. Słysząc tylko miarowe uderzanie kół pociągu i oddychanie uspiionych towarzyszek podróży. Na każdej stacji przybywają nowe gromadki.

Słońce już było wysoko, gdy my zbudzone ze snu ze zdziwieniem poczęłyśmy przyglądać się wcale nieobcemu krajobrazowi. Zdawało się, że wjeżdżamy w okolice Łodzi: wszędzie pełno kominów, domów okopconych, w powietrzu unosi się dużo dymu i sadzy. I ludzie też podobni:

bladzi, wychudli, przygarbieni. Znać, że niewiele używają życiodajnego słońca. Wjeżdżamy w krainę bogactw naszych — do miast Górnego Śląska.

Sześć dni obozujemy w Janowie pod Katowicami. Zaprawiamy się w trudach i niewygodach, by na ziemi obcej nie mieć różnych niespodzianek. Z niecierpliwością wyczekujemy momentu wyjazdu. Może wtedy słońce pokaże nam jasne swe oblicze, bo u nas przez cały dzień deszcz leje niemilosiernie. Nie jesteśmy już wrażliwe na jego działanie. Zbijamy prycze, urządzamy próby śpiewów i tańców ludowych, jeździmy do Katowic — by zaprawiać się w skokach, biegach i t.p., przygotowujemy ekspoznaty sztuki regionalnej. Wreszcie wyjazd.

Wszystko sprawnie zapakowane na wozy. My z plecakami brniemy w błocie po kostki.

Na torze ustawione dwa pociągi. Śliczne, nowe pulmany. Ładujemy się tak, by było wygodnie spać w nocy.

O godzinie 19 przy dźwiękach orkiestry harcerek pierwszy transport rusza do Pragi. My z drugiego pociągu życzymy, by się dzielnie spisali:

W dwie godziny potem fanfary ogłaszają nasz wyjazd. Na przedzie pociągu, tuż za parowozem łopoczą polskie flagi. Wieziemy je w świat daleki, pewni, że zdobędziemy dla nich odpowiednie miejsce, wśród obcych. Wokół panuje noc. Część druhen śpi, reszta czuwa przy oknach, by nie przespać granicy, by w ostatnim momencie rzucić ziemi rodzinnej ostatnie pożegnanie, ostatnie zapewnienie, że wytrwamy. Nagle w przedziałach zamierają słowa na ustach — za oknami słychać rozmowy. Prowadzą je ludzie w innym języku, zbliżonym do naszego. Wszystkie ciśniemy się do okien. Służba kolejowa polska oddaje nas pod opiekę obcych. Do przedziału wchodzi konduktor czeski. Z miłym uśmiechem na ustach, przykładając palce do czapki i wita nas: „nazdar slecne”. Początkowo jesteśmy strwożone, ale potem zaczynają się rozmowy. Jakoś się rozumiemy. Pociąg coraz dalej wjeżdża w krainę górzystą, tak podobną do opuszczonego przed chwilą Śląska Cieszyńskiego. Robi się dzień. Stacje czeskie, zda się, że pogrążone są we śnie. Wjeżdżamy z paradą. Druhowie grają pobudkę, potem Mazurka. Flagi im wtórują swym łopotem na wietrze. I tak jedziemy aż do Pragi. Na większych stacjach wdajemy się w rozmowy. Wszystko nas interesuje, o wszystko pytamy, na każde pytanie o Polskę udzielamy skwapliwie odpowiedzi.

Po dżdżystych dniach w Polsce w Pradze wita nas złote słońce. Przyjechaliśmy w pół godziny po pierwszym transporcie. Na Dworcu Massarykowym jeszcze słychać przemówienia, jeszcze grają hymny narodowe obu państw. Wychodzimy na ulice miasta. Wokół wita nas zgromadzony tłum. Odpowiadamy uśmiechem. Ustawia się pochód: hufce reprezentacyjne, drużyny żeńskie i męskie. Przed nami wznosi się 16 flag polskich. Przy dźwiękach czeskiej orkiestry ruszamy, by przejść miasto udekorowane barwami Czech i Polski. Tysięczna rzesza idzie miarowym krokiem przez gwarne ulice miasta, idzie w takt muzyki, którą zagłusza bicie jednego, wielkiego serca w tysiącu piersi, idzie wpatrzona w po-

wiewające poważnie proporce. Na czele pochodu wypisane barwy narodu wielkiego, my na piersiach swych na tychże barwach mamy napis: Polska, a pod naszą, szarą bluzą bije zgodnie, jedno wielkie serce: Dla Ciebie, Ojczyzno, na chwałę Twoją i Twej młodzieży, idziemy przez Gród nieznanym, by spisać się tak, jak tego żądasz od nas, jak rzesza harcerek potrafi.

Idziemy dumni, licznie reprezentując Naród wielki i Potężny. Wokół nas wznoszą się okrzyki w obu językach na cześć Polski. W oknach, na balkonach przepelnionych, na ulicach wszyscy powiewają chusteczkami: od dziecka małego do siwiejącego starca. Skwar południowy wzmaga się. Jednak nie czujemy zmęczenia. Idziemy weseli, by w cieniu ślicznego parku praskiego wziąć się do założenia obozu, by zacząć siedmiodniowe normalne życie harcerskie pod namiotami.

A. Wojtczakówna. Drużynowa.

Z nastrojów leśnych.

Poszły myśli w kraj, którego niema.
Szumy leśne między mchy się kładą.
Chwieje drzewo gałęziami trzema.

(Uciekły dni w złą dal — tak żal!
No cóż, czas już
Zapomnieć . . .)

Śmiech się dziwny konarami niesie . . .
Suną myśli jaskrawą gromadą
Po tym lesie . . . po lesie . . . po lesie . . .

M. Widemanówna (VIII).

Teatr, sala koncertowa i kino.

Od najdawniejszych lat człowiek czuł potrzebę wyrażania swoich myśli, powierzenia ich komuś innemu. Myśli swoje przelewał na papier, pisząc utwory literackie, lub komponując dzieła muzyczne. Inna znowu grupa ludzi szukała odzwierciedlenia swoich myśli i uczuć w odczytywaniu zwierzeń innych. Czasami lepiej trafiało do przekonania żywe słowo. W ten sposób powstał teatr. Z biegiem czasu zmieniały się upodobania i zakres umysłowy ludzkości. Charakter sztuk scenicznych zmieniał się, doszedł do postaci dzisiejszej. Teatr zawsze o wiele silniej oddziaływał na mnie niż kino. Żywi ludzie, żywe słowa, wszystko to wywiera zwykle na mnie silne wrażenie. Bardzo lubię teatr, a zwłaszcza sztuki fantastyczne. Treść ich, zbliżona do bajki, fantastyczne dekoracje, barwne kostjomy, obrazy plastyczne odwodzą mnie od rzeczywistości,

wprowadzają w krainę nierealną, w krainę pięknych snów i marzeń. Nie lubię sztuk nowoczesnych, realistycznych, bo ukazują mi one rzeczywistość w całej swej ohydzie, gorszą o wiele niż ją sobie wyobrażam. Sztuki te wprowadzają mnie w zły nastrój, denerwują, napawają odrazą do świata i otoczenia. Niszczą na długi okres czasu wyobrażenia o pięknie i o dobru. Nie znam jeszcze dobrze życia; nie wyobrażam go sobie zbyt idealnie, ale nie mogę, a może raczej nie chcę wierzyć w to, że jest ono tak brzydkie i tak potworne.

Kino wywiera zwykle na mnie mniejsze wrażenie niż teatr. Może dlatego, że większość filmów jest treści banalnej, często głupiej. Po wyjściu z kina zapomina się od razu o filmie, bezpośrednio jest się znowu wciągniętym w wir życia codziennego. Lubię filmy, których akcja odbywa się w krajach egzotycznych. Wtedy myślą przenoszę się tam, w podzwrotnikowe wodospady Afryki, na wyspy mórz południowych, wyobrażam sobie piękność i bogactwo tamtejszej przyrody. Czasem wyobrażam sobie, że sama widzę to wszystko, że obcuję z naturą, zdala od zgiełku i ruchu wielkomiejskiego, zdala od kultury, w tych cudnych polaciach ziemi, nienaruszonej jeszcze ręką człowieka. Często te filmy nasuwają mi smutne refleksje. Myślę o tem, czy także i te cuda natury człowiek zniszczy, szerząc kulturę? Może za kilkaset lat i te piękne, wysokie palmy będą służyły za budulec wspaniałych gmachów? Może ludzie przyszłych pokoleń będą mieli o tem pięknie natury wyobrażenie tak szare, jak my dzisiaj o epoce lodowcowej? Żal mi tych pięknych dżungli, mających w przyszłości stać się pastwą cywilizacji, tych rzek wspaniałych, burzliwych wodospadów, mających w przyszłości być ujętymi w uregulowane łożyska i służyć do wytwarzania siły elektrycznej. Kultura jest piękna, wspaniała, wykazująca mądrość, potęgę i wiedzę człowieka, ale zbyt często staje się ona niszczycielską.

Inny zupełnie nastrój niż w kinie lub teatrze panuje w sali koncertowej. Prawdopodobnie dlatego, że na koncerty uczęszczają zazwyczaj ludzie, przychodzący słuchać koncertu nie dla zabicia czasu, lecz z zamiłowania do muzyki, z potrzeb wyższej kultury duchowej. Niestety, mało jest ludzi, którzy muzykę rozumieją i kochają, a przecież muzyka to rzecz najpiękniejsza, najpotężniejsza. Przed tysiącami lat, kiedy nie było na świecie żadnej jeszcze kultury, kiedy człowiek nie znał sztuki czytania i pisania, śpiewem monotonnym, już to dzikiemi, niemelodyjnymi okrzykami wyrażał swoje myśli i swoje uczucia. To były zaczątki muzyki. Muzyka ta była tak prosta, składająca się z dźwięków tak nieskomplikowanych, jak dusza pierwotnego człowieka. Z czasem człowiek stworzył sobie instrumenty muzyczne, zapomocą których odtwarzał swoje nastroje. Pierwotnie był to bęben i zwykle piszczałki, o przesywającym głosie. Posługiwał się nimi człowiek w godzinach wielkiej radości, gdy członek jego rodu udawał się w krainę wiecznej szczęśliwości, aby połączyć się z cieniami przodków, lub w chwilach smutku, gdy jakieś nieszczęście spadało na jego plemię.

Dawno już minęły te czasy. Muzyka powoli doskonaliła się, szlachetniała, aż wreszcie doszła do epoki romantyzmu, na który przypada

jej najpiękniejszy rozkwit. Dusza ludzka doskonalila się, potrzeby duchowe człowieka wzrastały. Człowiek nauczył się odtwarzać swoje nastroje i zagadnienia, dręczące go, w sposób najpiękniejszy, najszlachetniejszy — przy pomocy tonów. Poznał wspaniałe bogactwa tonów i opanował je. Łącząc w jedną ogromną całość szeregi dźwięków, stworzył rzeczy piękne, potężne, które przetrwają dłużej, niż wszelkie słowo pisane, bo wryją się głęboko w czującej duszy człowieka. Muzyka jest mową najpiękniejszą, bo międzynarodową, mową, w której niema fałszu, ani obłudy, tylko szczere uczucie, poezja życia, zamknięta w tony. Muzyka ukazuje nam świat nierealny, nierzeczywisty, w którym nieznanie jest zło, gdzie króluje piękno i dobro, kraj uśmiechów i cierpień, ale cierpień twórczych, pobudzających do lotów wysokich, do wznoszenia się ponad sprawy ziemskie. Każdy człowiek może znaleźć w muzyce odzwierciedlenie swej duszy. Trzeba tylko chcieć i starać się rozumieć muzykę, poznać ją i pokochać, a da nam ona najszcześniejsze, najśodsze chwile w życiu. Najszcześniejsze — nie należy jednak rozumieć tego, że najwelsze. Muzyka wprowadza częściej w nastrój smutny, ale jest to smutek spokojny, łagodzący cierpienia. Przeważnie salę koncertową opuszczam w takim właśnie nastroju, zwłaszcza po koncercie muzyki wielkich romantyków. Czuję wtedy, że ci najwięksi naprawdę stosowali w życiu słowa Bethovena, tę zasadę najpiękniejszą z pięknych, aby:

„Dążyć do tego, co dobre,
poznać to, co piękne,
prawdy się nie wyrzec nigdy,
nawet na wyżynach tronu”.

Wanda Przeradzka (VIII).

Na marginesie „Ludzi bezdomnych” Żeromskiego.

Z książek, które ostatnio przeczytałam, najbardziej podobała mi się powieść „Ludzie bezdomni” Żeromskiego. Przedewszystkiem dlatego, że jest to powieść bardzo oryginalna, przynajmniej ja do tej pory nie czytałam podobnej. Wyczuwa się, że ta powieść pisana była bez planu, widać, że autor nie myśli specjalnie o kompozycji utworu, tylko chce odtworzyć nam nędzę ludzi bezdomnych taką, jaką ona jest, bez przesady i sentymentalizmu.

Ze spokojnych, owianych jakby dziwnym chłodem słów autora, płynie czasem wyrzut i szyderstwo, czasem smutek, czasem jasny uśmiech, który przejawia się w opisach promieni wschodzącego słońca, żywej zieleni parku lub wyrazistych oczu Joasi.

Ludzie bezdomni to ci, którzy poświęcili swoje osobiste szczęście dla pracy społecznej, to Judym, Joasia, Staszka Bozowska, nauczycielka L., Korzecki. . . . Wszyscy oni pracują ciężko z nadzieją, że będą mogli wiele uczynić dla biednego ludu, ale jednak nie mogą zdziałać tyle, ileby

chcieli i w pewnych momentach ogarnia ich zniechęcenie. Naprzykład Korzecki, taki wrażliwy człowiek, mówi raz, że go nic nie obchodzi nędza innych i przytacza słowa Chrystusa: „Co mnie i tobie, niewiasto?”, co oznacza w tym wypadku: cóż mnie to może obchodzić? W takich momentach depresji duchowej ci ludzie bardzo cierpią, bo wiedzą, że inną drogą pójść nie mogą, a jednocześnie widzą, jak ich olbrzymie wysiłki, nie dają należytych rezultatów, bo są zwalczane przez ludzi zmateralizowanych.

Judym po wygłoszeniu odczytu u jednego z kolegów zostaje napiętnowany pogardliwym mianem filantropa; wszyscy doktorzy odnoszą się do niego uprzejmie, ale z pewną rezerwą. Nie mają do niego zaufania, bo rozumieją, że to jest człowiek zupełnie innych poglądów, że on nie będzie szedł zgodnie z innymi, śladami „doktorów ludzi bogatych”. Dr. Judym był młody i mógł się bardzo łatwo zniechęcić pierwszym niepowodzeniem, a jednak w Cisach, gdzie miał większe pole do działania, występuje wbrew tyłu ludziom poważnym o ustalonej opinii i sprzeciwia się temu, co oni postanowili. Z pomocą jednego tylko Lesa, zamieszkałego w Azji, stara się dać lepsze warunki życia chłopstwu cisowskiemu. Ale i tu nie może rozwinąć swojej działalności w taki sposób, jakby tego pragnął; wyjeżdża, zostawiając w Cisach nietylko ogromną moc pracy, włożonej w szpital, ale i swoją śliczną Joasię, jedyny chyba promyk szczęścia w życiu. Później spotyka Korzeckiego, z którym pomimo ciągłych sporów bardzo dobrze żyją. Na nerwowego, wrażliwego Korzeckiego uspokajająco oddziaływa Judymowa „dusza z sutereny”, silna, wytrzymała i spokojna. Korzecki to przeciwiństwo Judyma, trochę filozof, trochę marzyciel, nadzwyczaj delikatna i głęboka natura, co nie licuje z jego powierzchownością, przejawiającą się w wykwintnem, zagranicznym ubraniu, w podróżomanji, która wydaje się fanaberją, a w rzeczywistości jest ucieczką od swych własnych myśli. Któżby pomyślał, że ten elegancki, wytworny człowiek może się do tego stopnia przejąć śmiercią dziecka, stróża tego domu, że, gdy tylko zrobi się ciemno, widzi jego czerwony kapelusik i słyszy wyraźnie jego wesoły szczebiot. Wtedy Korzecki ucieka, ucieka szybkim kurjerem zagranicę, aby zapomnieć o czerwonej plamie. Ale, jak sam mówi, w jego umyśle czerwoną plamę wygania zielona, Korzecki nie może uciec od tego, co „siedzi” w głębi jego jestestwa, w głębi duszy. Aż nareszcie w śmierci znajduje upragniony spokój. Wtedy dr. Judym zostaje znów sam wśród nędznego ludu górniczego i postanawia mu oddać całe swoje siły i pracę, zapomniawszy zupełnie o swem osobistem szczęściu. Wówczas przyjeżdża do niego Joasia, wesoła, uradowana, że go nareszcie widzi, a Judym mówi jej w dosyć szorstki sposób, że on jej nie chce, bo życie rodzinne mogłoby go odciągnąć od pracy społecznej, i Joasia przerażona odjeżdża. . . .

Mnie się to wydaje bardzo dziwne; czyż taka istota jak Joasia mogłaby mu przeszkadzać w pracy dla tych nędznych ludzi? Czyż dr. Tomasz i Joasia nie pomagaliby sobie wzajemnie? Rozumiem, że to była dla Judyma ofiara straszna, tak straszna, że napewno ja tego nawet dobrze pojąć nie umiem, ale dlaczego? Dlaczego on odebrał tej biednej, wymęczonej pracą Joasi swoje serce, jedyne, które było dla niej radością

wśród smutnego życia? Judym od dziecka przywykł, że jest sam, z nikim nie dzielił swych uczuć; ona zaś miała rodziców, braci, lecz to ognisko domowe przedwcześnie wygasło: Joasia została sama jedna, a jej tkliwa, prawdziwie kobieca dusza, pragnęła nieraz, aby mogła kogoś gorąco kochać. Joasia w bardzo krótkim czasie po wyjeździe z Kielc z pełnej zapału, rozentuzjasmowanej myślą o pracy społecznej dziewczyny zamienia się w poważną, myślącą kobietę. Pomimo wyczerpania pracą i znużenia fizycznego i umysłowego, z każdego dnia w pamiętniku Joasi widać, że ona ciągle jeszcze rozwija się, czyta rozmaite wartościowe dzieła, zastanawia się nad rozmaitymi zagadnieniami bardzo głęboko i ciągle posuwa się naprzód. Naprzykład czyta Elegie Owidjusza i doskonale odczuwa nastroj poety. Tylko to wydaje mi się dziwnym, że Joasia uważa, że „w ohydach jest tak samo cudna poezja”, jak w rzeczach pięknych. Zdanie to wygłasza pod wpływem trzydziestej ósmej elegji Owidjusza. Ja tych elegji nie znam, ale muszą być okropne, skoro przy czytaniu ich „dech zamiera w piersiach”. Ale jakże Joasia może twierdzić, że „w ohydach jest cudna poezja”? Ona, zdawałoby się, taka subtelna, delikatna — i jej mogą się podobać rzeczy brzydkie. Mnie się zdaje, że tak jak mówi Petronjusz: „prawdziwy esteta nie może być człowiekiem złym”, to znaczy Joasia jako człowiek dobry nie może nie być estetką. Makuszyński pisze: „Niema rzeczy złych, są tylko piękne i niepiękne”. Joasia zaś wynajduje poezję w rzeczach niepięknych? Wobec tego więc, czym jest poezja i kim jest Joasia? Piękno bowiem nie może być różne, piękno jest jedno. Ja myślę, że piękno ludzie najwięcej powinni kochać, bo jest przez Boga zesłane na ziemię. To, co my nazywamy sumieniem, które buntuje się przeciw rzeczom złym, to w istocie jest urażeniem poczuciem piękna. Dlaczegoż naprzykład „sumienie” nie występuje przeciwko niektórym rzeczywistym grzechom, a natomiast występuje przeciwko drobiazgom, których niema podkreślonych ani w dekalogu, ani w grzechach głównych, ani wogóle nigdzie? Mnie się zdaje, że człowieka, który ma za mało rozwinięte poczucie estetyki, nie powstrzyma od uczynków niepięknych ani religijność, ani obawa piekła, ani nic. Zresztą nie wiem, może ja się mylę. Tak samo nie mogę zrozumieć, dlaczego Joasia przytacza w swym pamiętniku zdanie Ludwiki Ackerman, że kobieta, pisząca poezję, jest śmieszna, że kobiety są nieszczerze i że prawdziwa poezja duszy kobiecej jest w śpiewie niewolnicy, której jest obojętne, co powiedzą o niej ci, którzy tej pieśni słuchają; bo ona śpiewa dla siebie. Mnie się zdaje, że wogóle dużo jest kobiet śmiesznych, bo są albo sentymentalne, albo udają rubasznosc. Dlaczego Joasię śmieszny specjalnie kobieta poetka?

Dużo rzeczy w „Ludziach bezdomnych” było dla mnie niezrozumiałych, ale mimo to, a może nawet właśnie dlatego, ta powieść podobała mi się bardzo i jestem pewna, że za parę lat, gdy lepiej mogłabym ją zrozumieć, byłaby daleko mniej ciekawa. Książka, którą się rozumie odrazu, która nie wymaga głębszego zastanowienia i jest odarta z uroku tajemniczości, jest już przez to samo daleko mniej interesująca.

Krysia Kozłowska (VI).

Sprawozdanie rachunkowe

Spółdzielni przy gimnazjum im. Emilji Sczanieckiej za okres od 3/IX-1930 r. do 15/VI-1931 r.
PRZYCHÓD. ROZCHÓD.

Sprawozdanie kasowe.

Na 1/IX-1930 r. pozostało	Zł.	260.20	R-ki „Naszego Sklepu”	Zł.	966.24
Zwrot pożyczek	”	471.50	Pożyczki	”	790.50
Za sprzedane towary w sklepiku	”	1,217.42	Stypendjum „10-cia Niepodległości”	”	300.—
Dochód z bułek i wafli	”	251.20	” kuracyjne	”	100.—
Udziały i wpisy	”	43.25	Wydatki kancelaryjne	”	5.45
Z B. G. K.	”	300.—	Różne	”	28.20
Dochód ze sprzedaży książek	”	33.10	0/0 Gminie	”	82.17
			Klucze do szaf	”	18.—
			Ogłoszenie w „Młodzieżowym Locie”	”	35.—
			Zwrot udziałów	”	9.50
			Gotówka w kasie	”	241.61
			Razem	Zł.	2,576.67

Razem Zł. 2.576.67

Razem Zł. 2.576.67

Sprawozdanie ze sklepiku.

Na 1/IX. pozostało towarów za Zł. 716.35
W okr. obrach. zakupiono towarów za „ 1,291.68

W okresie obrachunk. sprzedano za Zł. 1,217.42
Przy reman. obliczono towarów za „ 778.44
Brakuje towarów za „ 12.17

Zł. 2,008.03

Zł. 2,008.03

Stan czynny.

Gotówka w kasie Zł. 241.61
” B. G. K. „ 848.55
Dłużnicy „ 693.—
Towary „ 778.44
Straty na towarach „ 12.17

Zł. 2,573.77

Stan bierny.

Udziały Zł. 416.—
Fundusz społeczny „ 1,646.48
” wycieczkowy „ 77.70
Zysk z bułek i wafli „ 251.20
” ze sklepiku „ 182.39

Zł. 2,573.77

Opiekunka: *H. Zaborowska*
Przewodnicząca Zarządu: *Mieczysława Martynkówna*

Skarbniczka: *Eugenia Nikitińówna*.
Sekretarka: *Weronika Kowalska*.

Sprawozdanie Redakcji „Młodzieńczego Lotu” za rok szkolny 1930-31.

Na pierwszym tegorocznym zebraniu Sejmiku Gminy ustalono skład Redakcji „Młodzieńczego Lotu”.

Do Redakcji weszły koleżanki: H. Tylmanówna, M. Dembowska, H. Koszańska, M. Widemanówna, J. Bredelówna i J. Banaszczykówna.

W okresie sprawozdawczym wydano pięć dalszych numerów „Młodz. Lotu”, z których Nr. 6 omawiano na 2-ch zebraniach, Nr. 7 — na trzech, Nr. 8 na dwóch, Nr. 9 na dwóch i Nr. 10 na jednym. Ogółem odbyło się 10 zebrań Redakcji. Nr. 7 „Młodzieńczego Lotu” poświęcony został krajoznawstwu i łącznie z Nr. 4-ym, wydanym w roku ubiegłym, posłany na konkurs pisemek krajoznawczych, zorganizowany przez czasopismo krajoznawcze „Ziemia”.

W Nr. 8 umieszczono artykuł na dzień imienin P. Prezydenta Ignacego Mościckiego, w Nr. 9 — sprawozdanie z obchodu imienin Marszałka Piłsudskiego w naszym gimnazjum.

Zeszyty te zostały wysłane p. Prezydentowi i Marszałkowi.

W „Młodzieńczym Łocie” drukowane były oprócz tego artykuły o treści historycznej jak „Walerjan Łukasiński”, „O Konstytucji 3-go Maja”, artykuły okolicznościowe, obrazki z życia harcerskiego, poezje, rozrywki umysłowe i sprawozdania z półrocznej działalności Gminy Szkolnej.

W Nr. 7 „Młodz. Lotu” został ogłoszony konkurs na utwór z życia szkolnego, który z powodu małej ilości oraz bezwartościowości nadesłanych prac nie został rozstrzygnięty.

W bieżącym roku szkolnym „Młodz. Lot” posiadał 174 prenumeratorki z pośród uczennic z tego: z kl. I — 9, z kl. II — 10, z kl. III-a — 11, z kl. III-b — 4, z kl. IV-a — 14, z kl. IV-b — 15, z kl. IV-c — 13, z kl. V-a — 26, z kl. V-b — 12, z kl. VI-a — 11, z kl. VI-b — 12, z kl. VII — 19 i z kl. VIII — 18. Pozatem prenumerowało „Młodzieńczy Lot” sześć osób z personelu nauczycielskiego.

Pisemko było wysyłane poza szkołę: p. Kuratorowi Gądomskiemu, p. Wizytatorowi Gałęckiemu, p. p. wizytatorkom Michałowskiej i Dr. Lechickiej, a w drodze wymiany pisemek do „Orląt”, do gimn. w Krzemieńcu, do gimn. im. Reja w Warszawie, do gimn. im. Król. Jadwigi w Pabjanicach, do Szkoły Przemysłowej w Warszawie i do gimn. im. Mikołaja Kopernika w Łodzi.

Redaktorki:

Henryka Tylmanówna VIII. Marja Dembowska VII. Halina Koszańska VI-b.

Sprawozdanie z pracy w Czytelnii za rok szkolny 1930/31.

W dniu 14 września otwarto Czytelnię pierwszy raz w tym roku szkolnym i odtąd Czytelnia była czynna w każdą niedzielę od godz. 11 do 1 po poł.

W bieżącym roku szkolnym prenumerowane są pisma:

Czyn Młodzieży, Dla Przyszłości, Iskry, Kobieta Współczesna, Morze, Start, Sternik, Tęcza.

Oprócz tego mamy pisemka niektórych gimnazjów łódzkich, a także innych miast Polski.

Mimo że dużo ciekawych rzeczy możnaby się dowiedzieć z tych pism, jednak koleżanki bardzo mało interesują się Czytelnią.

We wrześniu	czytało koleżanek	5
w październiku	„ „	żadna
w listopadzie	„ „	12
w grudniu	„ „	34
w styczniu	„ „	13
w lutym	„ „	10
w marcu	„ „	15
w kwietniu	„ „	6
w maju	„ „	—
w czerwcu	„ „	—

Razem w ciągu roku szkolnego czytało pismo 95 koleżanek.

Najczęściej, chociaż tylko sześć razy przychodziła koleżanka Hala Stawicka z klasy IV-a, inne przychodziły dwa, lub trzy razy, albo też szczególne gromadne przychodzenie było jednorazowe.

Czytelnia zajęła się sprzedażą wzorków na roboty, bezpłatnych dodatków do „Kobiety Współczesnej”.

Za pięć sprzedanych wzorków otrzymano 2.50 gr.

J. Bredelówna.

Kącik naszych najmłodszych.

Przechadzka Gwiazdki.

Raz Gwiazdeczka złotowłosa
Wyleciało skoro świt
Na jeziora to największe,
Zarośnięte gąszczem sit.
Słonko złoci jej skrzydełka,
A sukienka niby mgiełka
To tu miga, znów tam miga
I nie spocznie nigdy chyba.
Z motylkami igra,
Rybce płata figła,
Konikowi¹⁾ wiąże nóżkę,
Napotkała małą muszkę
I w górę się z nią unosi.
O, już wieśniak trawę kosi
I do domu czas, i do domu czas!

„Pollyanna” kl. II.

¹⁾ Konikowi polnemu.

Za Redakcją Dr. R. Pachucka.

Wydawca: Gmina Szkolna.

Redakcja i Administracja: Gimnazjum Żeńskie
im. E. Szanieckiej — Łódź, ul. Pomorska Nr. 16.

Cena pojed. numeru 70 gr
Prenumerata 50 gr

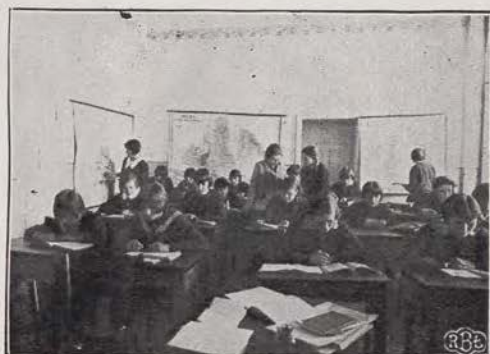
Druk Współczesna Drukarnia Artystyczna w Łodzi, Piotrkowska 107.



Front gmachu Państwowego Gimnazjum im. E. Szanieckiej w Łodzi.



W pracowni polonistycznej.



W pracowni historycznej.



